Ner 6. Kraków 15 marca 1868. Rok III.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami i opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI i ADMINISTRACYI przy ul. Mikołajskiéj Nr. 451 na dole, otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano.

Numer dzisiejszy jest **ostatnim bieżącego kwartału**.

Upraszamy o wczesne nadsyłanie zaległości i prenumeraty — aby uniknąć opóźnienia w odbieraniu „Kaliny".

Do numeru dzisiejszego dołącza się dla Prenumerujących **nuty**.

ARTUR GROTGER.

Ustęp z dziejów sztuki polskiéj.

(Ciąg dalszy.)

Kiedy nas policzono do nieżywych, krzyk serc potrzebował pokarmu, upadający potrzebowali, aby się dźwignąć, oprzeć się mocno o nienaruszone węgły ojczystéj budowy. Więc oto przewodnicy z lampą wiedzy i miłości zeszli do katakumb i odgrzebali zasypane kopalnie i skarbnice w głębinach przeszłości. Zastępy historycznych badaczy — z ojcem Lelewelem na czele pokazali nam zkąd idziemy, czémeśmy byli, jakiemi drogami szły losy nasze, w czém były nasze siły, gdzie szukać sił nowych. Kiedy nam usuwano ziemię z pod nóg, urągając, że skarlałe i lużne pokolenia niezdolne już są do utrzymania politycznego bytu — wtedy stała się nam najpierw historja ucieczką, trybunałem, który nam wydał świadectwo życia, dokumenta praw. Rozpaczający i zwątpiali potrzebowaliśmy sami przed sobą i dla siebie uzbroić się i upewnić. Historycy, to pierwsi nasi porozbiorowi architekci. Odsłonili nam posady przeszłości, podali materjały prawdziwéj, zdrowéj tradycyi, z pod pleśni jezuicko-szlacheckiéj wydobyli wątek powszechnego narodowego odrodzenia.

Filozofia polska wydobyła pociechę i umocnienie z głębin ducha. Cieszkowski, Trentowski budują filozofią czynu, życia; budują historjozofią, ażeby z pasma dziejów wszechświata wysnuć nić naszą, polską i słowiańską, ciągnącą się w przyszłość. Umiejętność mądrości podała nam jako rezultat badań swoich: „Polskę, jako męczennicę prawdy i apostołkę przyszłego triumfu i przymierza dobréj woli".

W parze z polotem nauk szła poezja, a nawet wyprzedzała je. Jak Lelewel sięgnął do „historyi ludu polskiego," jak jedyną rękojmią politycznego odrodzenia stało się podniesienie do godności narodu odtrąconych warstw — tak też i poezja przypomniała sobie sobótkowe piosenki Kochanowskiego, zaczerpnęła natchnienia z piersi ludu. Od Brodzińskiego do Lenartowicza nie wyczerpały się jeszcze te skarby. Jasnowidząca boleść dusz wybranych dała nam arcydzieła, które się stały ewangelią narodu. Krasiński wydobywa z gruzów Polskę idealną, ale ubraną jeszcze w delie i kontusze; Słowacki przeprowadza nas przez wszystkie piekła, upadki, wpośród płaczu i zgrzytania zębów, wśród miłości i nienawiści — bo w takich to bólach wychowuje się młoda Polska. A Mickiewicz zestrzelił w ognisko ducha swego wszystkie potęgi narodowego ducha, i wszystkie czasy postawił przed oczy nasze. Szlachecką przeszłość zabalsamował w urnie homeryckiéj epopei; męki i porywy obecne, potrzebę bohaterstwa, zemsty i ofiary ubrał w cudowne kształty Grażyny, Walenroda, aż w Dziadach tęczę przyszłości rozwiesił; zaklął młodość do życia, jak nikt przed nim i po nim. Pol zapatrzony w przepadłą bezpowrotnie, złotą swobodę szlachecką, przebudza się czasami jak zraniony lew i śpiewa Januszowe rapsody, albo pisze Kilińskiego szewca na bębnie w obozie. Wpośród utrapień bije w niebo głos Jeremiaszowych skarg Kornela................ A tym bardom wtóruje podniosła muzyka począwszy od polonesów Ogińskiego, mazurowych poematów Chopina *), aż do piosenki Komorowskiego.

* * *

Nastała jednak chwila, były pewne oznaki czasu, jak gdyby cel i kres zatonął gdzieś w zapomnieniu, a same

*) Patrz przeszły rocznik „Kaliny": „o muzyce i niektórych jéj mistrzach".

przygody podróży pochłaniały całą żywotność narodu. Błędne ogniki poczęły w umysłach majaczyć. Prąd historycznych prac począł się rozdrabniać i trwonić w drobiazgowych archeologicznych zabawkach. Filozofia unosiła szczególniéj w Poznańskiém w niemieckie spekulacyjne urojenia. Poezja zachorowała na mistycyzm, messjanizm. Religijno-polityczne matactwa Towianizmu poczęły się szerzyć jak zaraza. Postawiono jako dogmat: sztuka dla sztuki, sama dla siebie. Warszawę porwał szał muzyczny — lada objaw w dziedzinie innych sztuk wprawiał w zachwycenie.

I zawyrokowano, że nam już tylko bawić się jak starym dzieciom, żeśmy się zakochali w pogańskiéj bogini piękności, że nas rozpieścili Malczewscy i Goszczyńscy, i już nam tylko wygrywać na teorbanie Zaleskiego dumki. Ale były to tylko obłędy chwilowe i miejscowe. Niebawem powróciło wszystko do należytego łożyska i praca postępowała nieprzerwanie. Mochnacki i pisma emigracyjne czuwali nad wyrobem zdrowych zasad politycznych. W naukach ścisłych, jakkolwiek odebrano nam wszelki wpływ na instytucje publiczne, więc uniemożebniono prawie naturalny rozwój nauk; zdobyliśmy się jednak na znakomite dzieła; a w ekonomii polityczéj buduje Supiński własną naszą szkołę. Otworzyły się dwa nowe źródła nieznane w dawnéj Polsce: literatura ludowa, to jest dla ludu — i dziennikarstwo, ta najpopularniejsza dźwignia oświaty. Zresztą polityczny czyściec, i groza wypadków to najskuteczniejsze lékarstwa dla nadania i utrzymania umysłów w odpowiedniéj trzeźwości.

* * *

W owéj to chwili estetycznego szału, który nam rozmiękczeniem serc i myśli zagrażał, podniósł Julian Klaczko, przejęty patryotyczną obawą, potężny głos dla przestrogi i zreflektowania. A najpierw wołał, że sobie stroimy więzienie, że zamiast go rozwalać, przyzwyczajamy się do klatki. Było to wołanie sprawiedliwe. Sztuka, jako jeden z objawów narodowego życia winna do tegoż życia powracać. Uszlachetniając przez kształcenie uczucia piękna, przedstawiając w idealnych kształtach wszystko co stanowi treść i ducha narodu, jego dziejów i przeznaczeń, winna być wiekuistym Zniczem dla ogrzewania serc, nieprzebraném źródłem natchnień. Jeżeli się staje zabawką, przestaje być sztuką. Kapłanki nie można ubierać w szaty salonowéj płochości, ona w takiéj atmosferze musiałaby umrzeć na suchoty i pozostałaby po niéj tylko czczość, pustka i żal za zmarnowanym czasem.

Ale znakomity publicysta poszedł daléj. Aby powstrzymać jednostronny oślepiający kierunek przedsięwziął udowodnić, że sztukomania u nas tém jest szkodliwszą, ile że w braku wszelkich warunków, sztuka plastyczna nigdy u nas ani powstać, ani zakwitnąć nie może.

Pod tym względem uniosła autora potrzeba chwili, nie obliczył się, a całe rusztowanie, które postawił, obaliły przeciwne fakta. (C. d. n.)

Nocleg w górach.

Koliba z kory — w środku ogień w dymu chmurze,
W koło drzemią pół siedząc, pół leżąc w dwóch rzędach
Tu mężczyźni, tam panie, niby w bliźnich grzędach
Warzywo i kwiat barwny, łopuchy i róże.

Tu siostra obok siostry, tam matka przy córze,
Tu Polka przy Prusaczce na jednéj pościeli,
Naprzeciw znowu Polak z Niemcem pościel dzieli
W zgodzie, jakby to było gdzieś w niebios lazurze.

Wszystkich kryje koliba. Jeden tylko gardzi
Dachem z kory, pod skrzącą gwiazd on legł oponą
Jako Arab, co strażą leży przed namiotem.

O patrz się w gwiazdy młody człowieku! Mnie bardziéj
Ciągną dziś te światełka, co tam w oczkach płoną
Czarnobrewy — dziś dla niéj pogardzam gwiazd złotem.

Powrót.

Jedziemy znowu wózkiem, przy mnie czarnobrewa
W skromnéj, szaréj sukience, z wieńcem mchu na głowie,
By dryada, co leśne swe rzuca pustkowie,
Strojna w kwiecie i zieleń rodzinnego drzewa.

Lecz nie sama z pieśniarzem górska jedzie dziewa,
Naprzeciw matka — obok wierna siedzi drużka;
Wzrok matki — to jak szklanna oslona kwiatuszka,
Słuch drużki — to jak tyczka dla słabego krzewa.

Pierwsza strzeże od muchy, strzeże od robaka —
Tyczka broni od wiatru. Lecz czyż ja jak mucha
Brzęczę, lub jako robak jasny kwiat roztoczę?

Czyż jak wiatr ruszę sercem-listkiem? — Ja do ptaka
Podobny, co go pędzi grad i zawierucha,
Co spadłszy z chmur tchu czerpie, by znów mknąć
w przezrocza.

Józef Sęp. —

Pożegnanie.

O nie mów ty mnie nic o wspomnieniach!
W popiołach grzebać nie warto,
I próżno szukać śladów krwi w cieniach,
Przegraną łudzić się kartą.

Precz ze wspomnieniem! jak mech ponury
Osiada w duszy tajnikach,
Jak lasy grzybów, jak z pleśni góry
Na zwiędłych rożach, gwożdzikach.

Więc je wyrywać trzeba i plenić,
By nie głuszyły ogrodu,
By wieczną wiosną mógł się zielenić,
I śmiać się do słońca wschodu.
O nie ze wspomnień snujmy nasze życie,
Lecz miejmy wiarę: w serc bicie.

Alf.

SYRENA.

(POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA.)

(Ciąg dalszy.)

— A to romantyczna awantura — odezwał się pułkownik, który dotąd jako niemy świadek się zachowywał. — Ratujemy jakąś piękną nieznajomą, odwozimy w odległe ustronie, w jakieś zaklęte a przynajmniéj zamknięte ogrody — ona znika — wszystko jak w średniowiecznych romansach. Pfe, wstyd mnie za ciebie doktorze. Trzeba było choć trochę pamiętać, że jesteśmy w Warszawie i spytać choć o jéj nazwisko.

— A to po co?

— No, bo przecież spodziewam się, że pójdziesz jutro spytać się o jéj zdrowie; ciekawym więc jak będziesz się pytał o nią; przeczucie może być wcale błędnym przewodnikiem, a pytać się: — czy tu mieszka piękna nieznajoma, którą wczoraj ocaliłem — to znowu nie uchodzi.

— Ja tam wcale nie pójdę.

-- Tak? Ta rybia piękność widocznie nie przypadła ci do gustu. Podzielam całkiem twoje zdanie i ja nie lubię takich osyanicznych piękności o bladych twarzyczkach, błękitnych oczach, i cichéj i pogodnéj duszy. Kobieta, któréj wzrok mnie nie pali, dotknięcie nie sprawia febrycznych dreszczów i bezsennych nocy, nie jest u mnie pięknością.

Doktor skrzywił się nieznacznie na te słowa.

— Nie zrozumiemy się nigdy, pułkowniku. Nie pójdę tam, boby to wyglądało, że przychodzę po nowe podziękowania, że chcę korzystać z przypadkowéj znajomości.

Dorożka zatrzymała się przed mieszkaniem doktora, który pożegnawszy pułkownika wysiadł i poszedł do siebie. Wrócił dziwnie zamyślony. Jakkolwiek przed chwilą mówił pułkownikowi, że nie chciałby korzystać wcale z téj przypadkowéj znajomości, jednak zdawało mu się to niepodobném, aby ta tak dziwnie zawiązana znajomość mogła się urwać zaraz w pierwszéj chwili i to na zawsze. Z lubością zatrzymywał się pamięcią na téj chwili, w któréj blada twarz nieznajoméj oparta na jego ramieniu lekkim rumieńczykiem dawała znaki życia, w któréj podnoszące się powieki odsłoniły jéj jasne, cudne oczy. Spojrzenie tych oczów podziałało wtedy na niego, jak ciepłe promienie wiosennego słońca, gdy padną na zamrożoną ziemię. — Długo chodził po pokoju myśląc o niéj. — Kiedy przechodził koło okna firanka trącona jego ramieniem poruszyła się, bluszczowe listki przebudzone tém poruszeniem drgnęły i dotknęły obrazu wiszącego w ich ukryciu. Sztych lekko tylko założony zsunął się na ziemię z szelestem. Doktor odwrócił się i zmięszał ujrzawszy nagle odsłoniony portret Irreoltemy. Twarz jéj wśród kołyszących się bluszczów zdawała się ożywiać i ruszać. — Wrócił ku oknu i stanął przed portretem. Pierwszy raz dzisiaj portret ten wydawał mu się mniéj pięknym. Twarz białą porównał do gipsowéj maski zdjętéj z najlepszych posągów starożytnych, oczy do otworów czarnych bezdennych przepaści, w którą człowiek bez trwogi spojrzeć nie może — jakieś zimno marmurowe wiało na niego od portretu. Mimowoli zrobił porównanie między portretem, a ową blondynką. Pierwsza wydała mu się, jak księżycowa noc na cmentarzu, wśród któréj człowiek doznaje silnych wrażeń zachwytu i przestrachu, druga jak pogodny wieczór nad cichą wodą pod pachnącemi lipami ozłoconemi słońcem, w którym człowiek siada w progu chaty, słucha dzwonka co dzwoni na Anioł-Pański i mówi: jak mi dobrze. — Doktor zasłonił portret i odszedł do stolika — ku lampie. Potrzebował światła, by niém żywić te jasne, ciepłe promienie, co teraz rozjaśniały jego duszę; piękna blondynka wciąż stała mu na oczach a w miarę jak się w nią wpatrywał twarz jéj ożywiała się, karminowe wązkie usteczka rozchylały się do uśmiechu i wprawiały w ruch dwa dołeczki wdzięków. Wreszcie refleksja rozpędziła to jasne widziadło.

— Na co się to zda — pomyślał sobie — marzyć o dziewczęciu, które o mnie już pewnie zapomniało. Jak ona była milcząca ciągle, na jéj twarzy znać było wyraźnie chęć pożegnania nas jak najprędzéj — jak skwapliwie wybiegła z powozu i —

Tu uwagi doktora zatrzymały się. Przypomniał sobie, że odchodząc z takim pośpiechem, nie zapomniała podać mu ręki na pożegnanie, że ta rączka lubo nie-

śmiało go dotknęła, jednak serdecznem uściśnieniem podziękowała mu za opiekę. Ten uścisk nawrócił znowu myśli jego do nieznajoméj blondynki i w marzeniach o niéj doktor usnął.

Na drugi dzień wstał wcześniéj niż zwykle, ubrał się z pośpiechem i wyszedł na ulicę. Ranek był pogodny i świeży — dymy z kominów prościuteńkim słupem podnosiły się w niebo zabarwione na różowo wschodzącém słońcem. Nie była to jeszcze godzina wizyt u pacjentów, doktor więc postanowił przejść się trochę ku rogatkom Mokotowskim. Potém jednak zdawało mu się to za daleko i skręcił w ulicę Chmielną. Minął Szpitalną, Marszałkowską i nie zatrzymując się szedł aż tam, gdzie domy coraz rzadsze, a natomiast parkany drewniane i mury ciągną się wzdłuż ulicy. Jest to przejście z miasta do wsi; powietrze tutaj czystsze, nieba więcéj pokazuje się oczom, a daléj widno już szerokie pole.

Doktór zwolnił kroku, uważniéj przypatrywał się domkom, czasami zatrzymywał się i oglądał. Nie było to proste gapienie się, doktór szukał furtki, przed którą wczoraj wysiadła nieznajoma. Nie miał żadnéj w tém myśli, chciał tylko wiedzieć, gdzie ona mieszka, zbliżenie się do murów, wśród których ona przebywa, było dla niego wielką przyjemnością. — Trudno mu jednak było odszukać furtki, było ich bowiem kilka podobnych. Wśród tych oględzin, jeden domek zwrócił jego uwagę. Za murem w ogrodzie stał niewielki domek o jedném pięterku — drewniany, z rzeźbionym misternie ganeczkiem i takąż facjatką. Dwa okienka ubrane w geranijki i miesięczne róże, osłonięte białemi firaneczkami z zieloną klatką, wyglądały skromnie zpod cienia ganeczku. To ciche, milutkie mieszkanko bardzo spodobało się doktorowi; wyobrażał sobie jak mile musi być mieszkańcom tego domeczku w lecie, gdy nagie teraz i przyprószone śniegiem gałęzie zazielenią się i oplotą ganek, gdy woń białych kwiatów napełni powietrze.

Gdy tak wpatrywał się w ten domek — z ciemnéj sionki wyszły na ganeczek dwie kobiety. Pierwsza z nich niosła książkę do nabożeństwa, podała rękę drugiéj, starszéj i obydwie zeszły ostrożnie po schódkach. Za chwilę brzęknęła furtka i kobiety wyszły na ulicę. Doktór nie widział wprawdzie twarzy ani jednéj, ani drugiéj, ale przeczucie kazało mu wierzyć, że jedną z nich jest owa nieznajoma, a drugą jéj matka; wszakże wczoraj wspominała coś o matce. Nie czekał więc już dłużéj, ale szedł powoli i zdaleka niepostrzeżony za owemi dwiema kobietami, które nie zatrzymując się nigdzie, zdążały prosto do kościoła ś. Krzyża. Doktór wszedł za niemi i stanął przy drzwiach wchodowych, mając na oku klęczące przed wielkim ołtarzem. Długi czas upłynął zanim powstały i zwróciły się do odejścia. Doktór zadrżał, jakieś błogie, dziwne uczucie przeszło go, w jednéj z kobiet poznał nieznajomą blondynkę, druga była o wiele starszą, ale miała te same rysy, tę samą pogodę oblicza, jakiś anielski spokój wiał od tych istot. Doktór z czcią patrzał na nie.

Gdy się zbliżały do kropielnicy, blondynka spostrzegła doktora stojącego pod chórem i uprzejmie skinęła mu głową, potém nachyliwszy się ku matce, coś jéj pocichu do ucha szeptała. Matka obejrzała się i zbliżywszy się do pomięszanego i nieśmiałego, odezwała się:

— Więc to panu mam podziękować za obronę od napaści mojéj pieszczotki? Błogosławię przypadkowi, który mi pozwolił to uczynić, bo Helenka wczorajszym wypadkiem tak była pomięszana, że podobno zapomniała podziękować panu. — Bóg ci zapłać.

— Pani dobrodziejko — każdy na mojém miejscu byłby... mówił zakłopotany doktór kłaniając się co chwila.

Matka podała dłoń, uścisnęła serdecznie i wyszła wraz z córką, która odchodząc miała jeszcze dość czasu spojrzenie i ukłon dodać do podziękowań matki.

Doktór był wzruszony, odurzony tém spotkaniem, nie wiedział co się z nim działo, doznawał tego uczucia, jakie ma człowiek, gdy mu się śni, że lata po powietrzu: tak mu było lekko, — dobrze. Szczęście to rozrzewniło go, ukląkł i począł się modlić gorąco, wśród modlitwy przyszedł mu na myśl drewniany domek na ustroniu, umajony zielonemi drzewami, ozłocony słońcem, a w tym domku dwie twarze pogodne, święte prawie i modlił się, by to wszystko nie odbiegło od niego jak sen złudny, by mógł kiedy wejść do tego nieba na ziemi. — Z rozpromienioną twarzą wstał od modlitwy i wyszedł z kościoła. Naraz dziwny widok uderzył jego oczy. Całą szerokość ulicy wypełniał tłum ludu, wśród którego jęki i lamenty kobiece głośno się odzywały. Doktór stojąc na podwyższeniu, mógł dokładnie przypatrzeć się wszystkiemu i nie długo potrzebował szukać przyczyny narzekań. Otoczeni żołnierzami i bagnetami szli środkiem ulicy rekruci. Twarze ich wynędzniałe i smutne, głowy ogolone na dół zwiesili, ubranie na nich dziwaczne z resztek domowéj odzieży i z żołnierskich starych czapek i szyneli, w chodzie ich znać było unużenie wielkie. Na przodzie szedł jakiś mieszczanin w długiéj kapocie, w kobiecych trzewikach i okrągłéj żołnierskiéj czapce. Ubiór tak dziwaczny mógłby rozśmieszyć każdego, gdyby nie ten błędny wyraz oczów, z których płynące łzy dziwne floresy popisały na brudnéj twarzy. Ten płaczący człowiek trzymał na ramieniu skrzypce i grał. Drugi obok niego w połatanéj sukmanie z gołą głową, od któréj odstawały duże uszy, uderzał co chwila w bęben zawieszony na sznurze. Bęben ciężył mu widać, bo aż się zgarbił i idąc ciągle się potykał. — Okropną była ta mieszanina pstrokatych twarzy, muzyki, łez i smutku. — Byli to rekruci, których z prowincyi przygnano do Warszawy — rozkazano im śmiać się, weselić i grać, bo nazajutrz miało stać w dziennikach

urzędowych, że przyprowadzono do Warszawy nowy transport rekrutów, który z ochoczą muzyką przeciągał przez ulice okazując radość i zadowolnienie, że im się nadarza sposobność służenia najjaśniejszemu carowi. O lamentach i rozpaczy dzienniki zamilczą, a żołnierze tłumili je częstemi uderzeniami kolby. — Był to widok rozdzierający serce. — Doktorowi patrzącemu na to zrobiło się nagle tak smutno, jakby wiatr z mogiły wionął na niego, ten widok zasłonił mu jak czarna chmura to niebo, w jakie wpatrywał się tam w kościele klęcząc pod chórem. Wstyd go było, że prosił o szczęście dla siebie, gdy tylu ludzi jest nieszęśliwych, że marzył o spokojném życiu w kraju burz i nieszczęść.

Ta scena uliczna przypomniała mu, że jako członek organizacyi ma dzisiaj sessyją. Pospieszył więc do chorych, aby ułatwiwszy się z niemi, mógł na naznaczoną godzinę stawić się na umówione miejsce. Jakże się zdziwił, gdy przyszedłszy tam, zastał drzwi zamknięte, na jego pukanie nikt nie odpowiadał. Odszedł więc dziwnie zaniepokojony i pełen domysłów. Na dole spotkał jednego z członków, który zażądał od niego zwrotu upoważnienia nadającego mu prawo zbierania składek i werbowania ludzi do organizacyi.

— Jakiż powód tego? Czy jakie zmiany w rządzie?

— Nic nie wiem. Mam rozkaz i jestem mu posłuszny.

Doktór ruszył ramionami, dobył za rękawa niebieski papier opatrzony pieczęcią rządu i oddał żądającemu.

— I ja więc będę posłuszny — rzekł. — Nie wiem dla czego cofacie zaufanie, jakieście we mnie położyli, wierzę, że słuszne do tego macie powody. Nie wchodzę w nie. Ale gdy zapotrzebujecie mnie znowu, chętnie stanę na wasze usługi.

To rzekłszy, podał rękę temu, do którego mówił. Ten nie przyjął podanéj ręki, odwrócił się i wyszedł na ulicę.

Doktór nie mógł wyrozumieć tego postępowania, jakieś złe przeczucie ogarnęło go, przyszła mu na myśl wczorajsza scena z Juliuszem N., który może oszczerstwem mści się na nim za to. Ale wnet odrzucił ten domysł od siebie. Nie mógł on przypuścić, aby tam gdzie idzie o sprawę tak świętą, tak wielką, mógł ktoś osobistemi powodować się urazami i zawiścią.

— Nie, to niepodobna. — Mógłby mnie wyzwać, mógłby mi szkodzić innym sposobem, ale nie użyłby pewnie środków, które służą świętéj sprawie, dla nasycenia prywatnéj zemsty. Jest jakieś nieporozumienie. Może zmiana w organizacyi, może większa centralizacja władzy.

Uspokojony tém tłomaczeniem, udał się do siebie. W sieni spotkał jakiegoś starego żołnierza o kuli, który rozmawiał ze stróżem.

— A oto właśnie idzie pan doktór, o którego się pytacie — rzekł stróż, pokazując na wchodzącego.

Żołnierz zmięszał się tém niespodziewaném przyjściem.

— A czegóż to chcecie? — spytał doktór.

— Jestem niezdrów, przyszedłem po radę — bąknął niezrozumiale.

— Nie jest to wprawdzie godzina, w któréj przyjmuję; ale chodźcie.

Poszedł na górę. Żołnierz za nim, sztukając szczudłem po schodach — wzrok tego ostatniego był dziwnie niepewny, ruchy jakieś niespokojne. — Gdy weszli do kancelaryi — żołnierz sięgnął głęboko do kieszeni i gwałtownym ruchem postąpił naprzód. — Coś błysnęło w jego ręku. W téj chwili doktór odwrócił się ku niemu — żołnierz cofnął się i znieruchomiał.

— Co wam brakuje? — Pokażcie puls.

Żołnierz schował to co trzymał i machinalnie podał rękę.

— Puls bardzo przyspieszony, gorączka mocna. Musieliście się czem zmartwić, lub o coś mocno zaniepokoić. — Apetyt macie?

Żołnierz chciał odpowiedzieć, ale głos zasechł mu w gardle, z trudnością przełknął ślinę i odpowiedział:

— Nie mam.

— Nie jest to nic niebezpiecznego. Zaraz zapiszę wam lekarstwo.

To mówiąc, usiadł do stolika. — Przez ten czas żołnierz patrzał na piszącego wzrokiem okropnie dziwnym, twarz jego żółta i sterana to nabiegała krwią, to bladła, muszkuły twarzy drgały i zmieniały się co chwila, a ręka niespokojnie sięgała do kieszeni i nie mógł jéj dobyć ztamtąd, jakby go coś więziło i przytrzymywało. — Zbliżał się zcicha i oddalał znowu.

Doktór nie widział téj walki, tego dziwnego wewnętrznego jakiegoś pasowania się. Napisał receptę, wstał i podając żołnierzowi, rzekł:

— To lekarstwo i trochę spokoju mój stary, a będzie wam lepiéj. — Jeżeli macie jakie zmartwienie wielkie, to szukajcie rady w kościele — Bóg wam więcéj pomoże niż ja. Ufajcie mu.

Żołnierz drżącą ręką wziął od niego receptę, niespokojne oczy nabiegły krwią i załzawiły się mocno. Żołnierz zapłakał.

— Co wam to mój stary? — spytał doktór dobrotliwie.

— Nic, nic.

I zabierał się do odejścia. Doktor patrzał na odchodzącego wzrokiem zdziwienia, nie mogąc pojąć jego postępowania, jego niepokoju i wachania się.

— Wy jeszcze czegoś chcecie — może jesteście biedny? co? — odezwał się stojąc przy drzwiach.

Żołnierz rzucił mu się do nóg, zaryczał z płaczu i rzekł:

— Darujcie mi, darujcie.

— Ale co ja ci mam darować mój stary, rzekł doktór, podnosząc go z ziemi.

Tego ja wam powiedzieć nie mogę. Ale — tu obejrzał się w koło i dodał pocichu — uciekajcie, bo wam grozi niebezpieczeństwo.

— Od kogo? Mają mnie aresztować?

— Nie, nie, niebezpieczeństwo zkądinąd uderzy.

To rzekłszy, wyszedł spiesznie z pokoju.

Po jego odejściu doktór rozmyślał nad ostrzeżeniem jakie mu dał. Nie był on tchórzem, ale to niebezpieczeństwo, które tak tajemnie mu zagrażało gdzieś z ukrycia, którego powodu nie wiedział — poczęło go niepokoić trochę. Gdyby ktoś stanął przeciw niemu z bronią w ręku, nie uląkłby się wcale, ale nie wiedzieć zkąd i od kogo cios uderzy, i obawiać się w każdéj chwili nieszczęścia — było męką dla niego. Dziwne domysly występowały na widnokrąg jego duszy jak czarne chmury, zbierały się w jednę masę zapowiadającą burzę, ołowiane ciężkie powietrze przygniatało mu piersi. W drżącym glosie żołnierza, w jego płaczu była prawda, któréj nie mógł nie wierzyć, był przekonany, że stał się ofiarą czyjejś intrygi lub nieporozumień. A co go najwięcéj bolało to to, że ani usprawiedliwić się nie mógł przed nikiem, ani oddalić od siebie pozory, które go potępiać się zdawały. Bo i przed kimżeby to uczynił, kiedy jakaś ręka z zakrytą twarzą groziła jego życiu. I to kiedy? — Wtedy, gdy to życie poczęło się wyjaśniać od uśmiechu i łagodnego spojrzenia kobiety. Może znalazłby jeszcze odwagę stracić życie, ale stracić to szczęście, które się do niego uśmiechało, wyrzec się go — zdawało mu się okropném. — Idąc w ślad za swemi przypuszczeniami padł na domysł, że jedynie fałszywe oskarżenie Juliusza mogło sprowadzić na jego głowę jakieś niebezpieczeństwo. — Udał się więc na zwykłe miejsca schadzek spiskowych, chciał im zajrzeć w oczy, zdemaskować podłość tego człowieka wobec wszystkich i ocalić siebie. Ale w tych miejscach nie znalazł nikogo, widocznie obawiano się go jako złego człowieka i zmieniono miejsce. Rozpacz go ogarnęła, nie wiedział co począć. Wiedział o szerokiém rozgałęzieniu podziemnéj organizacyi; wiedział, że ukryć się przed nią nie pododobna; czuł, że jest otoczonym ludźmi, którzy już bacznie śledzą jego kroki, którzy czychają na sposobną chwilę, by się rzucić na niego. Znał z doświadczenia jak się odbywają podobne wyroki, często niewinni ludzie padali ich ofiarą jedynie dla tego, że rząd podziemny, zmuszony kryć się, nie mógł wytaczać procesów, otwierać trybunały, słuchać obrony. — Wszystko zależało od zdania i dobréj woli kierowników. A jeżeli wśród nich wcisnął się zły człowiek który nadużyje téj świętéj władzy, gdzież ucieczka przed nim? Kto wstrzyma jego rękę? — Religija odpowiadała mu: Bóg. Tak Bóg; ale kto wróci krajowi ofiary niewinne, kto ocali sprawę skalaną nieczystemi rękami?

Te myśli zasmuciły doktora. Ze zwieszoną głową szedł poważnie przez ulicę, zdążając do swego mieszkania. Chciał się zaopatrzyć w jakąś broń, by wrazie napadu nie dać się zarznąć jak bydlę ofiarne.

Kiedy się zbliżał do bramy, zauważył, że dwóch ludzi przechadzało się koło niéj, którzy zdawali się czekać na kogoś. Nie wiele trzeba było domyślności, aby poznał na kogo czekają. Wejście do domu groziło wyraźném niebezpieczeństwem. Zwrócił się więc w stronę placu teatralnego i poszedł na Senatorską ulicę. Skręcając ku Żabiéj ulicy, obejrzał się. Dwaj mężczyzni szli za nim pilnie mając go na oku. Nie było wątpliwości, że za nim idą. W pierwszéj chwili ogarnęło go takie oburzenie, że chciał dozorcy policyjnemu kazać aresztować swoich prześladowców, ale wnet odrzucił tę niegodną myśl, którą mógł tylko zhańbić siebie, wtrącić jeszcze w większe podejrzenia, ale nigdy ocalić, bo znał szerokie ramiona spisku. Usiłował więc tylko jakim zręcznym obrotem zmylić trop i zniknąć z oczu ścigającym, którzy w miarę zbliżającego się zmroku coraz groźniejszymi byli dla niego. Zdwoił więc kroku, przeszedł prędko Saski ogród, wyszedł bramą prowadzącą na Królewską ulicę, wsunął się w zaułki otaczające ewangielicki kościół i w kilku minutach znalazł się koło szpitala dzieciątka Jezus. Tu umyślnie zatrzymał się czas jakiś koło sztachet, wytężając pilnie wzrok w stronę Mazowieckiéj ulicy, czy przypadkiem nie zobaczy tych dwóch ludzi. — Nie pokazali się wcale. To go uspokoiło, odetchnął swobodny i powolniejszym już krokiem poszedł ku Chmielnéj. Zostawały mu dwie drogi: jedna w lewo by wrócić do domu pierwéj zanim pogoń wróci na stanowisko; ale znowu być tak blisko jéj domku i nie iść, nie zobaczyć choć światełka w jéj oknie — to było trudném dla niego, obrał więc drogę na prawo; jakaś nieprzeparta siła ciągnęła go do tego domku na ustroniu, którego ciche mieszkanki były dla niego w téj niespokojnéj i mętnéj chwili gwiazdami zapowiadającemi pogodę. — Niezadługo znalazł się pod znajomą furtką, przeszedł na drugą stronę ulicy, by lepiéj ztamtąd zobaczyć małe okienka za rzeźbionemi słupkami. Okienka były oświetlone, ale ciemne story tak szczelnie je zasłaniały, że nawet cień żaden nie zarysował się na nich. Pomimo to doktór nie miał ochoty odchodzić; tu czuł się bezpiecznym, jak żeglarz w przystani; patrząc w okna za któremi siedziała teraz pani jego serca, czuł się o wiele spokojniejszy i zapomniał o troskach i niebezpieczeństwach, które czychały na niego. Zakryty cieniem jakiegoś starego muru stał nieruchomy jak posąg, zamyślony i marzący.

Naraz usłyszał na pustéj ulicy odgłos kroków kilku ludzi. W pierwszéj chwili przyszło mu na myśl, że został odkryty, że odkryto znowu ślad jego, ale wnet uspokoił się, widząc trzech jakichś ludzi zupełnie do tamtych niepodobnych, którzy chylkiem, jakby sami przed kimś ukryć się chcieli, postępowali wzdłuż muru.

Koło furtki zatrzymali się, jeden z nich pchnął lekko drzwiczki, które się wnet otwarły i trzej ludzie zniknęli w ogrodzie. Za chwilę usłyszał ich kroki na ganeczku, w sionce pokazało się światło i ludzie ci weszli tam.

To zaniepokoiło doktora do najwyższego stopnia. Co miały znaczyć te późne odwiedziny? Miałyżby te kobiety oszukiwać tylko świat pozorem cnoty i skromności? Straszne domysły, jakie tylko zazdrość podszepnąć zdoła, opadły jego duszę i dręczyły ją. Usiłował rozwiązać zagadkę i nie mógł. Najłatwiéj było iść za śladem tych ludzi, podejść aż pod same okna i zaspokoić ciekawość, ale na to nie pozwalała szlachetność jego. Pasował się więc i męczył ze sobą. Ale jakież było jego zdumienie, gdy po niedługiéj chwili znowu czterech ludzi zbliżyło się ku furtce i weszło do domku w ten sam sposób co poprzedni. Doktór patrzał osłupiały i gubił się w domysłach. Ci ludzie widocznie byli oczekiwani, kiedy furtkę zostawiono w nocy otworem. Chciał korzystać z téj sposobności i zajrzeć choć o tyle do ogródka, by mógł rozpatrzeć się w położeniu domku, poznać bliżéj miejsca, w których ona mieszka, pracuje i marzy. Chciał więc przejść na drugą stronę ulicy i wychylił się z za muru. Struchlał — o kilka kroków od niego, stało owych dwóch ludzi, którzy go dzisiejszego dnia tak uporczywie ścigali, a którzy teraz ujrzawszy go, zbliżyli się natychmiast ku niemu. Nie było czasu namyślać się, doktór jednym skokiem przesadził ulicę i pobiegł do furtki.

W chwili, kiedy chwytał za klamkę, zgrzyt klucza w zamku dał się słyszeć i drzwiczki pchnięciu jego stawiły opór, równocześnie dwa sztylety ugrzęzły w jego piersiach. Ranny chwycił za dzwonek i szarpnął nim silnie, potém zachwiał się, upadł w tył i przerażającym głosem zakrzyknął:

Ratunku! ratunku!

W téj chwili światła w oknach zgasły, jakiś tłumiony, niewyraźny ruch dał się słyszeć na ganku i w ogrodzie; potém wszystko ucichło; światło nanowo ukazało się na ganku — stara służąca zeszła po schodach do furtki i spytała:

— Kto tam?

— Ratunku! ratunku — jęczał głos za murem.

Na ten głos dwie kobiety wyszły z domku na ulicę nieść pomoc; światło latarki padając na ziemię, oświeciło rysy leżącego; Helenka krzyknęła:

— Mamo, to on.

Doktór nie słyszał już tych słów, oczy miał zamknięte, sine usta nie poruszały się oddechem, czoło było zimne.

— Nie żyje — szepnęła matka.

— Może tylko omdlał — mówiła drżącym głosem córka — trzeba go ratować — on mnie ocalił.

Z trudnością wniesiono bezwładne ciało do małéj izdebki na górze, posłano po doktora. Córka tymczasem rozpięła suknie chcąc opatrzyć rany. Jeden sztylet zostawiony przez mordercę sterczał jeszcze. U rękojeści sztyletu wisiała przywiązana kartka, na któréj stało napisane:

„Wyrokiem Rządu podziemnego doktór R. za zmowy z wrogami i denuncjacją organizacyi narodowéj skazany jako zdrajca na karę śmierci“.

Helena upuściła papier i upadła na ziemię bez duszy.

(Ciąg d. nast.)

Jagiellonki Polskie.

W XVI. WIEKU.

Bywało dawniéj, że domowe sprawy królów, jako wybrańców, ich małżeństwa i wojny stanowiły główną treść nauczanéj historyi. Dzisiaj inaczéj, dziś wiemy wszyscy, że losy narodów nie zależą od pojedyńczych ludzi, że wojny są zaledwo jedną, słabą oznaką czasu, że treść dziejów stanowi rozwój wyobrażeń i wpływ ich na oświatę i dobrobyt ogółu.

Tymczasem niezmordowany badacz ALEKSANDER PRZEZDZIECKI obdarza nas właśnie dziełem, które zajmuje się przeważnie domowemi prywatnemi sprawami z przeszłości. Mogłoby się więc wydawać, że to dzieło niepotrzebne, a przynajmniéj zapóźnione. Owszem przeciwnie. Jak z małéj chmury wielki deszcz, tak w historyi nieraz z drobnych powodów wysnuwają się wielkie wypadki. Chcąc poznać pobudki kierujące ludźmi, trzeba się im przyglądnąć, nietylko jak wyglądają w todze, ale i w szlafroku. Nadto obyczajowa strona naszych dziejów leży dotąd prawie odłogiem, zbyt małe i zbyt surowe są materjały ku temu, i ztąd też pochodzi, że nie mamy historycznych powieści.

Księga p. PRZEZDZIECKIEGO nie jest tylko zbiorem materjałów z całego świata nagromadzonych, i mogących służyć dla autorów powieści i dramatów; ale są one w opowiadaniu powiązane tak, że dzieło to ma wielką wartość przystępności (popularności) i stanowi przejście zesuchych badań do historycznéj powieści.

W łatwych powieściach podał Dumas ziomkom swoim prawie całą historją francuzką, i rozchodzą się one w milionach egzemplarzy. I nasze panie karmią się temi powieściami z czytelni księgarskich, tak, że zwykle lepiéj znają przygody dworu francuzkiego, dzieje pań Ninon de Lenclos, Maintenon, Du Barry itd.; gdy przeciwnie znajomość własnych dziejów ogranicza się nieraz na podaniach o Kazimierzu Wielkim, o Sobieskim i Kościuszce, a po za tém usłyszeć się zdarza, że np. Rejtan figurował na czteroletnim sejmie! Otóż takie dzieła jak „Jagiellonki polskie“ mogą zapełnić brak takich książek popularyzujących historją.

Nadto jeszcze jedna okoliczność czyni je wielce pożądaném. O ile uznanym i cenionym jest w Polsce wpływ kobiet, to jednak szczegółów o wybitniejszych osobistościch posiadamy mało. Może być, że pochodzi to ztąd, że wpływ kobiet u nas był właściwie kobiecym, cichym, nieobliczonym na rozgłos, nie żądającym więcéj prócz wewnętrznego zadowolenia i miłości najściślejszego otoczenia. Ale toż trzeba właśnie na szczegółach wykazać azali i czy tak było?

I pisma i tradycja mówią nam oprócz Wandy, Jadwigi, Barbary, Maryi Ludwiki, Marysienki, zaledwo o kilku jeszcze wybitniejszych kobietach jak: Katarzyna z Żębocina, Marya Mniszchówna, Chrzanowska z Trembowli, Klaudja Potocka, kilka imion zakulisowego znaczenia i kilka autorek jak Drużbacka, Tańska, Żmichowska, Deotyma, Ziemięcka, Pruszakowa itd. Autor nasz zamierzył sobie przedstawić nam kobiety z królewskiego rodu Jagiellonów, rozjaśnić szczegóły już wiadome, podać nowe i odchylić przez to jedną z obyczajowych stron naszéj przeszłości. Nie jest to bez korzyści przyglądać się, że i królowe i królewne, były i są tak ludźmi, jak i wszyscy, podlegającemi tym samym frasunkom i radościom, temu samemu zapomnieniu; owszem nieraz stokroć biedniejsze, bo ród i sztuczny obyczaj oddala od nich serca i osamotnia ich na wysokościach ziemskich.

Oto więc za przewodnictwem autora, wstąpmy do komnat królewskich i zajrzyjmy do serc, które się odsłaniają w poufnych zwierzeniach i listach.

Najpierw zapoznajemy się z Barbarą Zapolyą i z Elżbietą Jagiellonką.

Kiedy się Zygmunt I. po pewnych luźnych stósunkach młodości ustatkował, pojął za żonę Barbarę, córkę po Stefanie Zapolya, panu na Trenczynie, hrabi na Spiżu i wojewodzie siedmiogrodzkim. Było to małżeństwo szczęśliwe, gdyż Barbara siedmnastoletnia była urodziwą, pobożną i posażną panną, zasługującą na tę miłość, jaką ją król otaczał. Zygmunt jako król polski stał nierównie wyżéj w hierarchii świata, jak panna, to téż pierwsze swadziebne kroki uczyniono z jéj strony, poczém dopiero po zawarciu aktów król do niéj poselstwo wyprawia. Widać, jakto i dziś bywa, że w takich układowych, dworskich małżeństwach dzieją się rzeczy według innych form, niżli pomiędzy zwykłymi ludzmi, gdzie panna, choćby nawet zakochana, prawie nigdy pierwszego kroku nie zrobi. Bo téż tam o miłość nigdy nie pytają i rzadkie to wypadki, aby pożycie królewskiéj pary tchnęło rodzinném szczęściem. Nadto równocześnie swatał cesarz Maksymilian Zygmunta z jedną z księżniczek mantuańskich, które Zygmunt już w Trydencie widział, a nawet nie omieszkał poznać się z tak pięknemi paniami. Jednak za swaty cesarskie obecnie król tylko podziękował i dodał, że byłby je jeszcze wdzięczniéj przyjął, gdyby się trochę wcześniéj objawiły; gdyż teraz zamiary i wola jego obróciły się już gdzieindziéj.

Już téż robiono w Krakowie przygotowania do przyjęcia narzeczonéj; Łukasz z Górki kasztelan poznański wezwany do orszaku w 60 koni, pisał król do niego: „Ale że nam przychodzi na myśl, iż potrzeba znakomitych niewiast dla przyjęcia narzeczonéj i uczczenia na pierwszym wstępie, chcemy, aby W. Mść żonę swoją (Katarzynę Szamotulską) tu na dzień ś. Doroty sprowadził, aby ku czci Naszéj i narzeczonéj Naszéj czyniła Jéj asystencją; coby Nam wielce miłém było“. Takie zaproszenia posłano i wielu innym Paniom.

Roku 1512 6go lutego przybyła Barbara w towarzystwie rodziny swojéj, orszak polski powitał ją w Łobzowie w rozpiętym namiocie, nastąpiły powitania ceremonialne duchowieństwa, akademii, magistratu; zaś 8go lutego nastąpił ślub i koronacja. „Mowę weselną miał legat papiezki Stafileus, poczém nastąpiły biesiady, widowiska i turnieje. I goście i dwór składali nowozaślubionéj królewskiéj parze bogate dary i nawzajem obdarowani zostali“... Jest to wdzięczny rys familijarności rodziny królewskiéj ze współobywatelami, a szkoda, że autor nie zebrał opisów ówczesnych widowisk.

Posag Barbary był jak naówczas bardzo znaczny: 100,000 czerwonych złotych, jakby dukatów dzisiejszych; król w zamian dał jéj na wiano liczne ziemie. Pożycie ich było krótkie, ale według własnych świadectw najczulsze i najzgodniejsze. Królowa powiła dwie córki, Jadwigę i Annę. Jakkolwiek król byłby wolał syna, to jednak za oboma razami dziękując królowéj i okazując jéj miłościwą pieczołowitość, oznajmia: „wszelki dar z góry dany, mile przyjęty być winien“: — i pisze do żony: ...„Usilnie prosimy W. K. Mci na wzajemną miłość Naszą, aby najmniejszéj podejrzliwości nie przypuszczała względem tego, aby nie miała pozostać zawsze Najmilszą dla Nas, pomimo tego, że wydała na świat córeczkę“. — W ciągu dwuletniego pożycia, dwa razy przyszło się królowi oddalić z powodu spraw państwa. Z wymienianych wówczas listów, prywatną cechę mających, wieje duch szczerego przywiązania i szacunku. ...„W. Miłość prosimy, aby tęsknotę za nami cierpliwie znosiła, ponieważ to, co czynimy, służyć ma ku chwale imienia Naszego i ku utrzymaniu państwa ojcowskiego i naddziadów naszych“. A od królowéj pisze sekretarz Krzycki: ...„a gdy długie podróże często afekta miłości u nieobecnych osłabiać zwykły, lękam się bardzo, aby W. K. Mość jak już ciałem i duszą odemnie nie odbiegła“; na co król znowu odpisywał: ...„Nie tak słaba jest postawa wzajemnéj Naszéj miłości, aby ją jakabądź odległość osłabić mogła“. Jednak królowa objawiała tęsknotę swoją: ...„Gdy inne uczucia i troski zmniejszają się z biegiem czasu, u mnie

zwiększa się z każdym dniem pragnienie widzenia W. K. Mci i niespokojność z powodu opóźnienia"... Król nawzajem okazywał jéj miłość, pamiętając o drobnych nawet szczegółach, z których życie i zajęcia téj pani poznać możemy: ...„Przyjmiemy to za spełnienie gorącego żądania Naszego, jeżeliby W. K. M. codzień idąc do kościoła na nabożeństwo, krótko tam bawiła; a czasem dla odpoczynku umysłu i ruchu ciała przechodziła się z N. Siostrą Naszą po ogrodzie naszym, lub w inném jakiémkolwiek przyjemném miejscu". Gdzieindziéj cieszy się król, że po powrocie nieprzerwaném pożyciem wynagrodzą sobie tę nieobecność, która mu się przykrzy. Upraszał też, żeby nie pościła nadto, nie modliła się długo, aby słuchała niewiast służebnych i lekarza, któremu pieczę nad nią polecał.

Jednak niedługo po powrocie króla umarła Barbara apopleksją tknięta. Król pogrążony w głębokiéj żałobie, wyprawił jéj wspaniały pogrzeb i pochowano ją na Zamku krakowskim w kaplicy Jagiellońskiéj. Była to pani pobożna, miłosierna i pokorna, spółczesny Decyusz przyznaje jéj zaszczyty świętym należne, a Bielski pisze: ...„Dla wielkiéj jéj pobożności, ku królowi małżonkowi wiary i powolności, a ku wszystkim ludziom niewymownéj dobroci i ludzkości, ku ubogim szczodrobliwości, i dla innych wszelakich cnót, musieli ją wszyscy ludzie miłować". Nie może też być lepszego świadectwa ile była warta, jak ta okoliczność, że umiała pozyskać i utrzymać stałą miłość męża.

Do obrazu rodzinnego grona na królewskim zamku w tych dwóch latach, należy siostra Zygmunta Elżbieta, wierna towarzyszka Barbary, otoczona niezmiennym szacunkiem brata, opiekunka i pierwsza wychowawczyni królewskich dzieci. Musiała to więc być dobra osoba i godna lepszych losów — a jednak dziwnie poszło jéj życie, jakby na świadectwo, że ani królowa, ani księżniczka nie ma przywileju na szczęście. Jeszcze za życia matki Elżbiety, żony Kazimierza Jagiellończyka, starał się o nią w r. 1505 Bohdan, wojewoda wołoski. Ale matka oparła się temu stanowczo, jakkolwiek Elżbieta miała już 33 lat, gdyż konkurent mógł tylko odrazę jéj budzić, jako jednooki i grubych obyczajów innowierca. Przy śmierci matki, z obawy, aby pozostawszy w panieńskim stanie „nie doznała niedostatku i ubóstwa", zapisano jéj dochody z wielu ziem i kamienic. W skutek wojny brat jéj Aleksander dał następnie upartemu Bohdanowi listy przyrzekające mu Elżbietę — ale śmierć jego obróciła w niwecz nadzieję Bohdana, a nowy król Zygmunt nie chciał przymuszać siostry do związku z dzikim Wołoszynem i raczéj siłą broni listy odebrać zamierzył — czego też w trzy lata potém dokonał, mimo nalegań papieża, któremu Bohdan względy dla kościoła katolickiego obiecywał. W inne strony obrócili starania swoje dwaj królowie polski i węgierski, aby Elżbietę wyswatać. Nie udały się zabiegi o dwóch książąt, jednego Niemca, drugiego Włocha; nie doszły oświadczyny królewicza duńskiego, nie udały się swaty za owdowiałego cesarza Maksymiliana, i kiedy Zygmunt ożenił się z Barbarą, Elżbieta kończyła 40ty rok panieństwa. Następnie w Presburgu ułożył Zygmunt piąty projekt małżeństwa z księciem Fryderykiem Lignickim i z posłami jego pakta zawarto. Królewna przystała posłusznie na męża młodszego od niéj o lat 8 (miała już 43) — więc z orszakiem w asystencyi biskupa wrocławskiego odesłano ją do Lignicy r. 1515. Posagu miała 20,000 złp. i różnéj wartości wyprawę. Posag miał być ratami wypłacony. Ale nie było już znać przeznaczenia, żeby jéj szczęście zakwitło, gdyż we dwa lata wraz z córeczką umarła i rodzina o zwrot wyprawy się dopominała.

(Ciąg d. n.)

HISTORJA LITERATURY POLSIÉJ

ofiarowana

młodym, uczącym się Polkom

przez

Felicję Wasilewską.

Tom I. Zeszyt I. i II. Lwów. Nakład Karola Wilda 1866—1867.

W ostatnich czasach pojawiło się u nas kilka książek zatytułowanych „historją literatury polskiéj" — nie wiele w nich jednakże pokazało się po ścisłym rozbiorze pożytku i wartości. Nehrynga praca stanęła niezaprzeczenie wyżéj ponad inne — a dzieło p. Wasilewskiéj, które obecnie mamy przed sobą, odpowiedziało pod wieloma względami swemu zadaniu. P. Wasilewska postanowiła sobie napisać książkę dla uczących się Polek. Piękny i szlachetny ten zamiar musiał się oprzeć na kilku warunkach, o których tu parę słów powiedzieć musimy.

Najprzód tedy szło tutaj o nauczenie historyi literatury, téj najpiękniejszéj części naszego społeczeństwa, którą dotąd powszechnie po pensjach zapomocą wypisów tylko i pobieżnych życiorysów znakomitszych pisarzów, zapoznawano z piśmiennictwem naszém. Specjalność więc na głównym planie stojąca, wskazywała odrębny kierunek pracy i jéj formę. Taka Historja Literatury, mająca być zobrazowaniem całego rozwoju ducha narodowego, miała następnie drugie ważne zadanie w zestawieniu literatury z dziejami politycznemi Polski. — Koniecznym wreszcie pracy téj warunkiem, było wyszukanie odpowiedniéj formy, która ze względów i doświadczenia pedagogicznego, zdawałaby się najodpowiedniejszą. — Zauważymy teraz, o ile Sz. Autorka odpowiedziała w swéj zacnéj pracy tym trzem

warunkom. — Najlepiéj i najdokładniéj — bo bezwzględnie nawet do specjalności dzieła — znakomicie rzec można, opracowanemi są wszystkie dziejowe zwroty w cały naród i jego polityczno-socjalny rozwój. Przekonanie, że literatury nikt nie pojmie, kto nie zna historyi narodu, natchnęło piszącą do prawdziwie pięknych rapsodów w jéj dziele, które mu nadają największą i najpożyteczniejszą wartość. Bo choćby też i tak wypadło, że z książki téj uczące się panienki, więcéj dziejów niż literatury się nauczą, nie będzie to ujemną stroną pracy. Wypowiadając tu to zdanie, nie możemy nie wspomnieć o całym zarysie epoki i jéj oświaty tak zwanego złotego wieku literatury polskiéj, którym się rozpoczyna drugi zeszyt. Tutaj, jak zresztą i w całém dziele — Szanowna Autorka przez wzgląd na dzieje politycznego rozwoju państwa — wypowiadając śmiało i pewno swoje zdanie, wprowadza młode czytelniczki na postępowe ścieżki myślenia — i słusznie przed niemi nie ukrywa prawdy, wyrzekając się z godnością téj papuziéj manii chwalenia wszystkiego o czém się mówi. Zestawienie literatury naszéj z obcą, rzucające tém jaśniejsze światło na powszechny obraz oświaty i cywilizacyi, tém wybitniéj ukazuje prawdę naszych zabytków, naszego postępu i rozwoju. W tym więc, historycznym przeważnie kierunku, praca p. Wasilewskiéj na wszelkie zasługuje uznanie, i zapewnia widocznie korzyści tym, którym jest poświęcona. — Dwa inne, a zdaniem naszém niezbędne w podobnego rodzaju książce, warunki, mniéj troskliwie widzimy tu uwzględnionemi. — Specjalne czyli wyłączne przeznaczenie historyi literatury dla młodych Polek, winno było naprowadzić piszącą na wybór pewnego stałego planu, który jakkolwiek widoczny tu i owdzie w systematycznym układzie książki, zamącony został zbyteczném mnóstwem bibliograficznych szczegółów, nieodpowiednich nauce tak wdzięcznie rozpoczętéj. Podawanie ogólnych obrazów — z uwzględnieniem wybitniejszych szczegółów — stanowi tu główne o ile nam się zdaje zadanie. Takie jednak krytyczne noty o Nestorze, Gallusie, takie długie szeregi wszystkich kronikarzy, nie są odpowiednie temu zadaniu. W takiém dziele wypada nadto przedewszystkiém unikać podawania wątpliwości, a wypowiadać zdanie pozytywnie, stanowczo, bo tu nie idzie o polemikę lub nowość poglądów wobec uczonego świata — w ogóle nie o erudycją, lecz o nauczenie.... Rzeczy wątpliwe lepiéj pominąć, aniżeli je zostawiać bez stanowczego rozstrzygnienia.

P. W. nie wszędzie uwzględniła tę konieczność. Równie też w cytowaniu przykładów nie wszędzie była szczęśliwą — jak to np. widzimy w pominięciu piękniejszych ustępów królodworskiego rękopisu — podaniu pieśni Boga-Rodzicy bez komentarza, potrzebnego wielce dla okazania historyi języka — nad którym bardzo trafne czyni uwagi w cytacyi modlitwy wyjętéj z książeczki przypisywanéj ś. Jadwidze — i w wielu innych miejscach. — W obrazowaniu trafném, nieraz i dokładném pewnego faktu dziejowego lub epoki, odwołuje się p. W. często do historyi powszechnéj, lecz te odwoływania się Sz. Autorki stają się niewystarczającemi o tyle, ile że napomknięty fakt nie zostaje należycie objaśnionym. Na str. 28. T. I. widzimy np. rzucone zdanie, które należało także bliżéj czytelniczkom wytłómaczyć. Mówi tam p. W.: „że przewrotna moralność średniowieczna Zachodu, oddziaływa na Polskę, psuje charakter wrodzony, a najstraszliwsze narodowe klęski zdają się tępić zacność narodową“. A niżéj zaraz pisze: „U schyłku téj epoki, obok świętości pojedyńczych postaci, widzimy niezmiernie wiele bezprawia, złego i znikczemnienia“... — Pozostawienie takich zdań, (choć ich przytoczeniu nic nie zarzucamy, bo nie lękamy się odsłonienia prawdy przed nikim) — bez bliższego ich objaśnienia, poczytujemy za pominięcie względu pedagogicznego. — Wreszcie co do całéj formy dzieła p. W., musimy zarzucić, że mu tok obrazowego opowiadania, jakkolwiek miły w czytaniu, utrudnia wielce naukę. Rapsodyczność byłaby tu godną polecenia. Do zapamiętania rzeczy, których się trzeba koniecznie nauczyć — pomocną jest wielce forma cząstkowego wykładu — wykładu rozdziałami, stanowiącemi pewne całe pojęcia, mającemi osobne tytuły a stojącemi w związku ze sobą. Rozdziały takie nie powinny być długie — gdyż wtedy pozostaje z nich w pamięci uczących się tylko cząstka przedmiotów — a inne potrzebne szczegóły nikną w zapomnieniu.

Wyliczywszy więc spostrzeżenia, jakie się nam nasuwały podczas czytania téj historyi literatury, która w ogóle nadzwyczaj ponętną i korzystną nam się wydaje, nie możemy przemilczeć naszego uznania i poszanowania dążności Szanownéj Autorki — któréj najlepszego życzymy w przedsięwziętéj pracy powodzenia. Pewni jesteśmy, iż Historja Literatury pani Wasilewskiéj, pomimo, iż znaleźliśmy po ścisłém w niéj rozpatrzeniu się, niektóre uchybienia, na baczniejszy wzgląd zasługujące — będzie wielce pożyteczną książką dla uczących się Polek — którym też z całego serca ją polecamy, w przekonaniu, że za jéj światłemi wskazówkami wejdą na pewną i jasną drogę wiodącą do zamierzonego celu oświaty.

Chcąc jednakże być szczerze sumiennymi w ocenieniu książki, przeznaczonéj do nauki młodzieży, winniśmy tu jeszcze wytknąć jednę jéj słabą stronę. Szanowna Autorka popełnia wyraźnie grzech powszechnéj dość powiatowszczyzny tak co do treści, jako też co do języka. W treści widzimy tu i owdzie zawsze gorętsze i gorliwsze wzmianki w kwestjach dotyczących Galicyi, niż np. Poznańskiego lub Kongresówki. Przytoczyć tu możnaby zaraz z początku w mitologii słowiańskiéj pominięcie wielu pomników innych ziem pol-

skich, a zbyteczne rozmiłowanie się w Światowidzie ze Zbrucza itd. Toż samo co do języka są tam wyrażenia, które się sprzeciwiają duchowi polskiéj mowy, lubo mają prawo obywatelstwa we Lwowie. Oto np. Kadłubek majątek swój ojczysty używał... Żadne prawie są nasze zabytki... różnił się z Tomaszem (nie kłócił, tylko się od niego odróżniał).... franciszkan, (zamiast franciszkanin — błąd często powtarzający się.) Za profesorami szukano(!).... bronić naukę... kilka rozdziałów w nim brakuje (wyrażenie niejednokrotne) i t. d. Sądzimy, że w tego rodzaju książkach, jeżeli im jak téj nie odmówimy pożytku i wpływu zbawiennego na młodzież, i o te szczegóły, wielce chodzić powinno. Że zaś one widocznie są tylko naleciałościami z potocznego stylu — a nie wadą języka, którym Szanowna Autorka włada doskonale — tak, że w jéj stylu męzką prawie siłę widzimy — łatwo się ich przeto przy bliższém przyjrzeniu się swéj pracy ustrzedz może i dzieło swoje z tych usterków oczyścić. *i. y.*

A. B. C.

W złudzeniach płakać, z wrzącą burzą szumieć,
Zwątpień zadymki i męki serdeczne —
To szkoła ledwie, lecz szczeble konieczne,
Przebyć je trzeba i trzeba je umieć.

Trzeba w człowieku jednym mnóstwo ludzi;
W swą drogę każdy niech płynie i płonie,
Jeźli z nich który gaśnie już, lub tonie;
Drugiego życie z śmierci go obudzi.

Zmartwychwstań blaski i narodzin zorze
Niech się kolejno i niech dzieją razem —
A mądrość w tém jest: jak i w jakiéj porze,

— Wędzidłem, słońcem, łzą, piorunem, głazem —
Jako i kiedy, by się losy stały,
Winien być człowiek z wszystkich jeden, cały.

Alf.

OBRAZY I OBRAZKI
z tatrzańskiéj wycieczki.

(Ciąg dalszy.)

Przyjąłem z radością ten mały ciężarek na moje ramię i ruszyliśmy na Gubałówkę. Jest to góra podobna do olbrzymiego wału, rozgraniczająca strumienie Białego i Czarnego Dunajca, pokrywa ją las świerkowy poprzerywany tu i owdzie uprawnemi polami i zabudowaniami wiejskiemi. Góra ta stanowi zarazem granicę doliny Zakopańskiéj i daje rozległy widok na południową jéj granicę tj. Tatry całe, które ztąd jednym rzutem oka objąć można począwszy od Orawskich gór pławiących się w gorących promieniach południowego słońca, aż do olbrzymich szczytów węgierskich. Dla tego widoku zaproponowałem paniom spacer na ową górę. Weszliśmy na nią od strony wschodniéj drogą, wiodącą do Chochołowa, która wielkim łukiem okrążając bok góry, czyni wejście na nią mniéj przykre: szliśmy zatrzymując się dla odpoczynku pod cieniem każdego drzewka, każdéj figury i zachwycając się krajobrazem, który w miarę naszego wznoszenia się coraz wspaniałéj i szerzéj roztaczał się pod nami. Cała Zakopańska dolina wyglądała jak duży trójkątny, pstrokaty dywan z przeróżnemi odmianami zieloności począwszy od ciemnego koloru lasów świerkowych aż do jasnoseledynowych lnów i owsów. Droga jak biała tasiemka falistym ruchem szła przez pola i lasy, przecinając je w różnych kierunkach, a obok drogi w łożysku białych kamieni srebrzyły się jak śniący szych górskie strumienie, nad któremi ciemne góralskie chaty usiadły jak małe ptasie gniazdeczka. W jednym kącie doliny bieliły się zabudowania dworskie i kuźnice Zakopańskie na tle ciemnych gór lesistych. Z za lasów występowały coraz to nowe szczyty gór granatowe, sine, popielate, stosownie do oświetlania i odległości. W ciemniejszych załomach jaśniały śniegi jak białka w oczach murzyna, stanowiąc dziwny kontrast z pogodném niebem i gorącem, jakie nam się czuć dawało. — Pomimo bowiem, że to była już godzina piąta, powietrze jeszcze było mocno rozgrzane a wchodzenie na górę wcale się nie przyczyniało do ochłodzenia nas. Pani Pipczyńska dyszała jak lokomotywa, w tém tylko różniąc się od lokomotywy, że nie ciągnęła nic, ale owszem była ciągnioną przez professora obojga kaligrafij (polskiéj i niemieckiéj) który kroplistym potem zalewał się z umęczenia. Pani Pipczyńska (jak się domyślać mogłem) zapewne dla zagajenia kwestyi małżeńskiéj, obciążyła swoją tuszą ramię professora; jednak umęczenie nie dozwoliło jéj dotąd rozpocząć tego ataku i cała rozmowa ograniczała się na stękaniu i sapaniu. Mimo to miała jeszcze dość siły rozciągnąć baczną kontrolę nad ukochaną swoją Hercią, która szła pod górę z jednym z młodych ludzi nie mających dotąd odpowiedniéj kwalifikacyi na męża. Troskliwa mama była w ciągłéj obawie, by młokos nie ośmielił się przypadkiem przez to zbliżenie się do panny i nie chciał adresować swojéj mowy wprost do jéj serca; pilnie więc nadstawiała ucha w tamtą stronę, wstrzymywała jak cuglami młodą parę, gdy się zbytnie oddalała od jéj uszów, co chwila swoje uwagi jak bomby rzucała między nich, to odpowiadając za Hercię, to zapytując sama o coś, gdy chciała nadać inny zwrot ich rozmowie.

Za tą parą szła ciocia wsparta na ramieniu Ksawerka, który choć przestał być poetą, nie przestał jednak być przystojnym młodzieńcem, co zdaje mi się jest zawsze silniejszym bodźcem u przekwitających piękności. Róż, gorąco i wstydliwość panieńska, umalowały jéj twarz w przeróżne odmiany czerwoności — a oczy to spuszczała nieśmiało na ziemię i zakrywała je malowanemi powiekami — to zwracała czule na plecy professora i pani Pipczyńskiéj przeczuwając, że za temi plecami toczy się rozmowa, która rozstrzygnie los jéj długo-letniego dziewictwa.

Na samym końcu szła tak zwana w języku mam i cioci ów **nać** tj. rodzaj ledziutkiéj kawaleryi, która jak zieloność z pietruszki służy do ozdoby i froterowania w karnawał salonów, do skompletowania towarzystwa, a z któréj żadnych jeszcze istotnych esencyjonalnych pożytków mieć nie można.

Ta nać zamykała nasz orszak.

Ja z Paulinką szliśmy naprzód. Dziewczyniątko pomimo to, że było rumiane od gorąca jak obłoczek przy wschodzie słońca — przecież rwało się iść naprzód, byle prędzéj stanąć na górze.

— Tam przy tym krzaku, koło którego brzózki się kołyszą, odpoczniemy sobie dopiero i zaczekamy na resztę towarzystwa — dobrze? Ale może pan jesteś zmęczony?

— Nie, pani. Mam skrzydła u ramion.

— Gdzie?

— Pani mi jesteś skrzydłem.

— Szkoda, żeś pan nie wziął cioci pod drugie ramie

— Dla czego?

— Byłoby drugie skrzydło, a wtedy możebyś pan trochę prędzéj szedł niż teraz. Jak mamę kocham, ja pana ciągnąć muszę.

Ten komplement przymusił mię do pośpiechu i w dobry kwadrans byliśmy już na szczycie góry na zielonéj bujnéj polanie pod cieniem kołyszących się brzózek.

— Ach, jaki przecudowny widok — odezwała się Paulinka odetchnąwszy pełną piersią i obracając w koło zdziwione, zachwycone oczy. Co tu gór wystąpiło, których tam z dołu nie widno. Panie! pan znasz dobrze te szczyty?

— Mniéj więcéj.

— Mów mi pan więc jak się który nazywa.

— Dobrze — rzekłem wstając. — Przyznam się, że nigdy lekcja geografii z piękniejszéj katedry nie była wykładaną.

— A pfe. Nie wspominaj mi pan o lekcjach i o geografii, bo mi się zaraz przypomina nosowy głos mojéj madame, zatabaczona chustka i pręt profesora geografii — którym jeździł po wszystkich czterech stronach świata. Ja tutaj chciałabym zapomnieć o tém wszystkiém i bez pręta pobujać po tych siwych górach.

— Więc dobrze. Niech sobie pani wyobrazi, że jéj oczy są dwa błękitne motyle, a moje słowa wietrzykiem co je popędza do lotu, a gdy motyle się zmęczą, ja im dla odpoczynku podsunę jak kwiatek jaki powieściowy epizod. Odkądże zaczniemy wędrówkę?

— Z prawéj strony i pójdziemy jak po stopniach coraz wyżéj i wyżéj aż na tę ogromną górę, co siedzi jak podparta staruszka tam na wschodzie.

— Zaczynam. Te najdalsze góry, które odległość zniża w naszych oczach, to Orawskie góry, nie znam ich dobrze, bo tam nigdy nie byłem.

— Dobrze pan zaczynasz ot nie znam, nie wiem.

— Od tego zaczęła się historja świata. Ciekawość Ewy pierwsza sięgnęła po owoc wiadomości. Tym razem pani zastępujesz Ewę.

— Bardzo proszę bez aluzyj.

— Wychodzimy więc ze stanu niewiadomości na następną grupę gór, jest to grupa Kościeliska, znana pani dobrze z ostatniéj wycieczki. Na ostatnim jéj planie rysuje się niewyraźnie ostry grzbiet Pysznéj, obok niéj niech imaginacja pani postawi Tomanową, Ornak i cały szereg mniejszych szczytów.

Najbliżéj nas wysunął się Upłaz, zasłonięty od dołu lesistemi Reglami. — Ten oddział gór obok pięknych wspomnień ma dla mnie jedno smutne, cmentarne. Kiedy po ukończeniu szkół zwiedzałem Kościeliska, juchasy koło Pyszniańskiego szałasu opowiadali mi o jednym podróżnym, który sam bez przewodnika zwiedzał te miejsca drapiąc się na strome turnie. Nikt jednak potém nie widział go wracającego, aż w kilka dni znaleziono w załomie gór ciało jego z roztrzaskaną głową i to tak okropnie, że rysów twarzy niepodobna było rozpoznać. Pomimo śledztwa sądowego nie można było wykryć ani nazwiska, ani pochodzenia tego człowieka, nikt potém o niego się nie zgłaszał. Pamiętam, że dla mnie, który wtedy zaczynałem żyć, który marzyłem o laurowych wieńcach i głośnéj sławie — to opowiadanie o śmierci człowieka, który zginął tak cicho, bez wieści, nieznany straszném mi się wydało, dreszczem mnie przejmowało. — Jedna pamiątka jaką po sobie zostawił, to był kawałek zatłuszczonego papieru, w który miał widać pieczeń owiniętą. Pokazano mi tę kartkę i jakież było moje zdziwienie, kiedy poznałem, że to było zadanie łacińskie jedno z tych, jakie i ja robiłem, z podpisem profesora, który był i moim zarazem. Byłże więc zmarły moim kolegą? Lub może wypracowanie to dostało się do niego zwykłą koleją losu, jaki spotyka studenckie kajeta? Wątpliwości téj nie rozstrzygnąłem nigdy, a jednak ile razy patrzę na te góry mimowoli, smutne ogarnia mnie uczucie, jakbym tam stracił kogoś z bliskich mi ludzi.

Paulinka słuchała poważnie i gdym skończył czas jakiś milczała. Potém nagle otrząsając się ze smutku, w jaki ją wprawiło moje opowiadanie, spytała:

— A wolno spytać o piękne i wesołe wspomnienia z tych stron?

— Do nich należy herbata z przekąską zostawioną dla głodnych i niegrzecznych podróżnnych, za którą jeszcze pani nie podziękowałem.

— No, no, spieszmy się z wędrówką po górach, bo już słyszę zbliżające się towarzystwo.

Ciągnąłem więc daléj w ten sposób opowiadanie:

— Tam, gdzie lasy nachylają się ku sobie i tworzą rodzaj ciemnego rowu, jest zlep prowadzący do Małéj łąki. Zlepem tym płynie strumień, który stanowi granicę pierwszéj kondygnacyi. Od Małéj łąki rozpoczyna się druga piękną stromą ścianą Gewontu podobnego do olbrzymiego sępa z opuszczonemi skrzydłami. Za Gewontem jak forteczne okopy idą Konradowa, Goryczkowa, Koszysta — za temi Kościelec, Granat, Krzyżna — a z boku Świnnica najwyższy szczyt polskich Tatrów. Te ostatnie góry stanowią rodzaj muru otaczającego z jednéj strony posępną i dziką dolinę pięciu stawów, z drugiéj strony ją zamykają góry Miedziane.

— I my tam będziemy?

— Tak będzie to ostatnia zapewnie wycieczka. W Kościeliskach poznałaś pani uroki tatrzańskiéj natury, tam zobaczysz pani jéj groźną potęgę.

— O jakże się cieszę na tę wycieczkę. A gdzież leży morskie oko?

— Ztąd nie widać nawet gór otaczających je. Leży ono mniéj więcéj w kierunku linii przechodzącéj od nas przez Krzyżnę. — Za Morskiém-Okiem rozpoczyna się szereg tatrów Węgierskich o wiele wyższych niż nasze, z których największe Gerlach, Nos królewski, Lodowa Turnia (8324 stóp), Łomnica (8342). Nie wszystkie jednak ztąd są widne. Szereg ich zakończa owa góra odosobniona podobna do piramidy ze strąconym wierzchołkiem. To Murań.

— Jak on ślicznie teraz wygląda; spodem już pokryty cieniami — białe obłoki usiadły na jego bokach, a szczyt cały fioletowo-różowy od słonecznych promieni.

— Herciu! nie tak prędko — odezwał się niedaleko od nas zadyszany głos pani Pipczyńskiéj i niezadługo całe towarzystwo nadciągnęło i rozsiadło się przy nas pod figurą.

— Umieram z pragnienia — rzekła ciocia, gdyby wody troszkę.

— Zdaje mi się i o nią trudno będzie na takiéj wysokości — odpowiedziałem.

— Stuknij pan laską jak Mojżesz i dostań ze skały wody — zawołała Paulinka, bo inaczéj pośniemy tu panu jak ryby.

— Wolę zastukać we drzwi jakiéj chaty i poprosić o mleko. — Ty mała — rzekłem do dziewczyny, która z prętem wikliny w ręku stała na straży dwóch gęsi i ciekawie nam się z boku przypatrywała — nie dostanie tu gdzie mleka?

Dziewczyna poczęła się wstydać, gryść fartuch w zębach i odwracała się odemnie.

— Mleka nie dostanie tu gdzie?

— E, nie.

— A twoja matusia nie mają mleka?

— Mają, ale...

— Ale co?

— Ale tylko gęsi.

— Niech będzie i gęsie — rzekła ciocia.

— Ależ pani — zawołała pani Pipczyńska i zbliżywszy się do cioci, poczęła coś szeptać, zapewne tłomaczyła jéj tajemnicę dostania nabiału, bo ciocia zażenowała się skromnie, jak przystało na dziewicę, która trzydzieści lat temu skończyła rok szesnasty i odrzekła:

— Ja tak mało znam życia wiejskiego i zawsze tylko w mieście, ptastwo i zwierzęta znam najwięcéj z talerzy.

— A u sąsiady waszéj nie ma krów? — indagowałem ochmistrzynię gęsi coraz więcéj zniecierpliwiony jéj odmownemi odpowiedziami.

— U sąsiady? Hi, hi, hi.

— Z czegoż się śmiejesz?

— A zkądby ona wzięła, kiedy chudsza od nas.

Ciocia znowu się zapłoniła. Uważałem za stosowne objaśnić mowę pasterki i rzekłem zwracając się do pań:

— Chudy znaczy u tego ludu, biedny. — Więc nigdzie tu u was mleka nie dostanie?

— Chyba u Michnowy.

— A daleko to ztąd?

— Hajnok pójdziecie tą ścieżką przez owsik — to ona was sama zaprowadzi.

Wstaliśmy więc wszyscy i wskazaną przez dziewczynę scieżką rozpoczęliśmy pielgrzymkę za mlekiem.

— O czem pan tak się zamyśliłeś? — spytała ciocia Ksawerka.

— Proszę pani ja myślę o tém, że żadne bydlę nie męczy się tak dobrowolnie i bez potrzeby jak człowiek.

— Dziękujemy panu za komplement — odezwała się natychmiat Paulinka.

Ksawerek się zmięszał.

— Ależ ja nie o paniach przecież mówiłem.

— Tylko — o bydlętach, słyszałyśmy.

— Bo — proszę pani, po cośmy wyszli tak wysoko szukać mleka, kiedy go we wsi mamy pod dostatkiem i na zawołanie.

— Pański kolega — mruknęła pocichu zadąsana Paulinka — powinienby odbywać spacery do jatek rzeźniczych lub restauracyi, toby mu się najkorzystniéj opłacało. — Słyszałeś pan co podobnego? On tu przyszedł dla mleka?

Nie odpowiedziałem już nic Paulince, bo w téj chwili

skierowałem całą uwagę na rozmowę, jaką prowadziła pani Pipczyńska z profesorem.

— Pan zapewne żonaty?

— Nie pani dobrodziejko, jestem stanu wolnego.

— Tego panu nie chwalę — spóźnione małżeństwa rzadko kiedy są szczęśliwe.

— Chciałem pierwéj wyrobić sobie w świecie stanowisko, bym mógł zabezpieczyć los żonie.

— To, bardzo chwa.... Herciu powoli.

— Dla czego mama pani trzyma panią tak na uwięzi i prawie mierzy kroki, jakiemi ma chodzić? spytał cichym, zniżonym głosem ten, co Hercię prowadził.

— Bo jest słabą i prędkie chodzenie jéj szkodzi, odpowiedziała mama za córkę.

— A to uszko — szepnął jeszcze ciszéj prowadzący, zmięszany tą niespodziewaną odpowiedzią.

— Lepszą ona ma jeszcze buzię niż uszko — pomyślałem sobie.

— A teraz kiedy pan los swój ustaliłeś — ciągnęła dalėj pani Pipczyńska — należałoby już pomyśleć o żonie.

— Gdybym znalazł kobietę odpowiednią memu stanowisku — odrzekł poważnie profesor gładząc brodę.

— Taką pan znajdziesz niewątpliwie, każda matka chętnie powierzy los swego dziecka w ręce człowieka statecznego i z pozycją w świecie. — Herciu, Herciu! Nie wiem czy pan znasz moją córkę. Zaraz ją panu przedstawię.

— Co mamo?

— Zerwij mi ten kwiatek czerwony. Ależ ja proszę córki — nieznośne te młokosy — rzekła pocichu do profesora — ani go oderwać od panny. A moja Hercia tak tego nie lubi, ona przenosi towarzystwo ludzi poważnych. Bez urazy — pan zapewne profesorem Uniwersytetu?

— Nie, pani.

— Nie? — spytała przeciągle.

— Oto jest mamo — rzekła Hercia podając matce kwiatek.

Mama kwiatek wzięła, ale córki nie przedstawiała; ona chciała wydać Hercię przynajmniéj za profesora Uniwersytu, niższą rangę przeznaczyła dla cioci i rozpoczęła znów rozmowę na ten temat zapewniając go o przychylności cioci i całego domu.

— Wszyscy się jak najpochlebniéj o panu wyrażają, lubią pana i poważają. — Pan daruje mojéj śmiałości, że spytam co pan wykładasz w szkołach?

— Ja jestem profesorem obojga kaligrafij? — odrzekł profesor z dumą i powagą.

Pani Pipczyńska osłupiała na tę niespodziewaną odpowiedź.

— Jakto? Obojga kaligrafij?

— Polskiéj i niemieckiéj. Poświęciłem się jednéj i drugiéj, aby mieć obszerniejsze pole działania na umysły kształcącéj się młodzieży.

Paulinka, która również jak ja przysłuchiwała się téj rozmowie, parsknęła głośnym śmiechem i puściwszy mą rękę, pobiegła naprzód.

— Co się pani stało? — spytałem lecąc za nią.

— Ach panie, umrę ze śmiechu: profesór obojga kaligrafij to tak jak np. król Obojga Sycylij. A to doskonałe! — A ja sądziłam, że to Bóg wie jaki uczony człowiek, że Bóg wie nad jak poważnemi myśli rzeczami, podczas gdy on myślał nad wykrętasami i ogonkami.

Długiego trzeba było czasu zanim mój trzpiotek wyśmiał się, uspokoił i na inny tok przeszedł rozmowy.

(Ciąg d. n.)

TEATR. Staś. — Szkoła obmowy. — Żeby napisać tragedją serca, wyłącznie serca, potrzeba na to ogromnego talentu i ogromnych zasobów duchowych. Bo gdzież więcéj tajemnic, niepochwyconych drgnień, gdzież trudniéj o konsekwencją, jak w sprawach, w których miłość, zazdrość, uczucie krzywdy, zemsta, rozpacz stają się nawet u najzwyklejszych ludzi przyczyną wypadków strasznych. To też mało jest tego rodzaju utworów; zdobywają się na nie wielcy poeci, albo pisarze młodzi w epoce tak zwanéj *Sturm und Drang*. Literatura francuska, zwłaszcza powieściowa, liczy najwięcéj jeszcze dzieł w tym rodzaju, i tu jest powód, że powieści francuskie takie mają szczęście u polskich czytelniczek. Trudniéj już o dzieła sceniczne w tym rodzaju. — Należy do nich ostatni dramat Augier'a: „Paul Forestier“ — należy też do nich przedstawiony u nas obecnie dramat Szajnochy: „Staś“. Nieodżałowany historyk nasz pisał tę rzecz mając lat 18. To też panuje w dramacie wiosenna bujność i świeżość, siła wyrażeń i myśli, mnóstwo drastycznych efektów, co ujęte w zręczny układ sceniczny, zapewnia dramatowi życie na scenie — zwłaszcza, jeżeli wyborna gra artystów dostraja się do wysokiego i gwałtownego tonu akcyi. Ale stało się tutaj Szajnosze jak owemu uczniowi (przepraszamy za porównanie), który całą lekcją umie i tylko na pierwszém słowie utyka — reszta już gładko idzie. Otóż akt pierwszy, zawiązanie, polega na nieprawdopodobieństwie, jest psychologicznym błędem. Jedno słowo ironii i wątpliwości rzucone przez obcego człowieka, rozbudza niewiarę kochanka w stałość kochanki, tak, że widzi potrzebę wystawienia jéj na próbę. Sam wyjeżdża i nie daje przez rok żadnéj wiadomości o sobie, tymczasem ów drugi ma udawać miłość do jego kochanki i chcieć ją pozyskać. Jeżeli wytrwa i oprze się, kochanek wróci. Ale jeżeli nie, to co?... Jest to dziwactwo, szaleństwo, niczém nieuzasadnione, jak mówi sam bohater sztuki — jako takie jest więc w dra-

macie nieprawdą, i zawiązanie jest chybione. Bo niech odpowie każdy człowiek, czy podobne postąpienie, podobna lekkomyślna gra ze strony prawdziwie zakochanego jest możliwą? — Ale jeżeli przebrniemy przez tę nieprawdę — rozwija się daléj rzecz naturalnym trybem. Ów, który miał udawać, zakochał się naprawdę; panna, jako opuszczona, przebolała i serce jéj, jak rozbitek deski, musiało się uchwycić nowéj miłości i pobrali się. Ale mąż jéj porzucił dla niéj dawną narzeczoną, a dawny kochanek wraca, i ci dwoje osiadają na lodzie z rozpaczą i zemstą w sercu. Porzucona mści się na rywalce wydzierając jéj dzieci, a sama się truje — kochanek zaś popada w rozpacz, w pijaństwo, niewygasła miłość bije się w nim z szatanem zemsty, który go w końcu owłada; zabija rywala, a śmierć męża zabija żonę. Numa nie idzie za Pompiliusza, wszystko się źle kończy, nikt się na szlachetność i rezygnacją nie zdobywa, jakby sobie tego może niejedna zapłakana panna życzyła. Ale takiego dobrego zakończenia ustrzegł się autor, bo byłoby drugą nieprawdą. Gdzie ludzi owłada jedna namiętność wyłącznie, tam zrywają się wszystkie węzły i względy; kto siebie nie oszczędza i naoślep leci, nie jest wstanie respektować drugich; wtedy nie może być mowy o zastanowieniu się; niekonsekwencja stanowi charakter gwałtowności. W walce z demonami namiętności muszą upadać ludzie, musi ginąć szczęście — a prawda tylko dla świadków może być widomą i triumfować w obłokach. Ta groza właśnie i ta konieczność jest osią tragiedyi. Wykonanie było znamienite. Serdeczną dziewczynę — zbolałą kochankę — młodziutką mamę, która z dziećmi sama dzieckiem się staje — umęczoną moralnemi cierpieniami kobietę — te odcienia roli swojéj przeprowadziła p. Modrzejowska z tą prawdą i głębokością uczucia i z tym niewymuszonym wdziękiem, któremi zawsze w podobnych rolach całą publiczność sobie podbija. Zdradzoną kochankę, mściwą lwicę — charakter czarny — oddała p. Wolska z przerażającą potęgą, ale zachowując przytém tę miarę, że złe nie uczyniła tak dalece wstrętném, iżby poza niém ginął wzgląd na wykończenie i piękną grę. Podobna rola i trudność jest najlepszą wskazówką do osądzenia talentu. Radzibyśmy widzieć p. W. w rolach téj potęgi, jak np. „Lady Makbet“, gdyż mamy to przekonanie, że talent jéj podołałby zadaniu. Stasia, rzutnego kochanka, a potém zrozpaczonego pijanicę, żebraka szarpanego przez sępy miłości, zazdrości i zemsty — grał p. Ładnowski. Rola ta orzekła stanowczo o przyszłości tego artysty na scenie. Publiczność, która i dotąd nie szczędziła mu oklasków za role margrabiego Vilmer, Spiegelberga i inne — zdumiała się jednak nad doskonałością w odegraniu Stasia. I my po raz pierwszy o p. Ł. używamy wyrazu doskonałość, gdyż gra jego była tak obmyślaną, tak odpowiednio przeprowadzoną, ruchy i ton były tak prawdziwie tragiczne i porywające widzów, że w istocie niektóre jego sceny z ostatnich dwóch aktów możnaby osobno i szeroko rozbierać. P. Ł. posiada wielki zasób wewnętrzny i umie go użyć w rolach narysowanych silnie i głębokich. Dyrekcja teatru może téż obecnie rozdawanie pewnych ról zastósować więcéj do szczegółowych uzdolnień artystów. I tak p. Bendzie przypadają najwłaściwiéj postacie charakterystyczne w komedyi, bez wysokiego patosu, i typy ludowe; — p. Ładnowskiemu role bohaterskie i kochanków; — p. Wolańskiemu role lekkie salonowe, jak Mazepa, Gustaw… rola Edwarda jest wcale nieodpowiednią dla niego, nie przemyślał jéj wcale. Ów znudzony skeptyk z pierwszego aktu wyglądał dobrodusznie — a w dalszych ów człowiek na serjo, który wywalczył sobie charakter męża — oddany był blado i bez wyrazu. (W nawiasie dodamy, że w ciągu kilku lat, w których dramat się odbywa, Edward i trochę postarzeć musiał i kostium zmienić). Rola ta powinna zostać przy p. Bendzie.

Obok przedstawień znakomitych utworów jak: „Miłość i Dyplomacja,“ „Balladyna,“ których oddanie za każdą razą wiele zyskuje — wznowiono téż komedją Scheridana, przerobioną przez Bogusławskiego p. t.: „Szkoła obmowy“. Grano ją pierwszy raz w dzień koronacyi Stan. Augusta, a miły król sam rękopism poprawiał. W komedyi téj (tak jak ją przebrano na polskie) nie ma typów, ale żywe fotografje.— Nie ma ona więc dzisiaj wartości historyczno-obyczajowéj — gdy przeciwnie wówczas, przedstawiając znane zapewne figury i wypadki, musiała mieć wartość satyry ostréj i dowcipnéj. Niemniéj jednak tło całe narysowane jest z nieprzemienną prawdą: stary mąż i młoda żona uwikłana w sidła płochego i oszczerczego towarzystwa, dwaj bracia, jeden utraciusz z dobrém sercem, drugi sensat i wzór z pozoru, a w gruncie świętoszek i zły człowiek; stryj z prowincyi, który incognito ich próbuje, w końcu zwycięztwo uczciwych serc i dobrych obyczajów — oto ramki, w których obok intryg dla nas już dzisiaj zanadto prostych i obok grubéj ciesielskiéj roboty w tworzeniu charakterów — mieści się mnóstwo arcykomicznych scen i sytuacyj, tak, że szczerze uśmiać się można. Wszyscy artyści grali z humorem, lecz żadna rola nie jest o tyle wybitną, żeby się w niéj odznaczyć można, więc téż o p. Hofman, ani o p. Rapackim, nic szczegółowo nie powiemy. P. Wolski winien być mniéj rubasznym, p. Henig wymowniejszym, gdyż dziwnie mu się język plątał. P. Dobrzański podniósł swoją rolę swobodą, niezwykłą u niego.

W sprawozdaniu dwutygodniowém musimy podnieść w końcu widoczne postępy w grze p. Bauman (Alina, Amelka), które też publiczność oklaskami przyznaje. Dźwięczność i dziwna szczerość głosu i wielce ujmująca postać, rokują jéj powodzenie w rolach kochanek i naiwnych dziewczątek.

S.

Postne zabawy rozpoczął teatr amatarski na zupę rumforcką. Powiódł się wybornie — chociaż niektórym amatorom przeszkadzała widocznie niewprawa w używaniu polskiego języka — a niektórych zanadto krępowała i żenowała scena. Ze trzech sztuk pierwsza „Venta“ jest niesmaczną — drugie dwie przez W. Bobrowskiego przejdą zapewne do repertoarza teatralnego.

*** Następujące **odczyty** w sali Tow. naukowego są zapowiedziane: „Na wydanie fotografij rzeźb Wielkiego ołtarza kościoła N. Maryi Panny“ trzy wykłady. Dr. J. Kremer 16go t. m. — porównanie rzeźby greckiéj z Witem Stwoszem; — Dr. Wincenty Pol 18go t. m. „o potrzebie szanowonia pamiątek i zabytków“; — P. Władysław Łuszczkiewicz 20go t. m. „o wielkim ołtarzu“ szczegółowo. — Bilet wejścia 50 c. — początek o 6téj wieczór.

*** Druga serja na rzecz Akadem. Tow. bratniéj pomocy rozpocznie się zaraz po tamtych, a mianowicie mówić będą: Prof. Nowicki — „przedmiot z nauk przyrodniczych“; — Dr. Adam Bełcikowski: „o komedjach Zabłockiego“; — Dr. Ludwik Gumplowicz: „o formach rządu“; — p. Alfred Szczepański: „o poezyi lirycznéj greckiéj“; — Dr. Arnold Rapoport: „o listach Juniusza“. — Ceny są bardzo przystępne: 40 c. krzesło — 30 c. miejsce stojące — w abonamencie na całą serją jeszcze taniéj. — Początek o 6téj wieczór.

*** Drugą postną uroczystością był **koncert** fortepianisty p. Józefa Dulęby. Liczna i doborowa publiczność obsypała koncertanta rzęsistemi oklaskami za prześliczne wykonanie utworów Chopina, Liszta, Bacha — fantazyi z Dinory i t. d. Elegancja i delikatność dotknięcia obok zadziwiającéj biegłości, to charakterystyczne cechy jego gry. Musimy się jednak ograniczyć na téj wzmiance, zapisujemy ją bowiem już przy zamknięciu dziennika.

*** Przez ciąg postu odbywać się będą co środa w sali hotelu saskiego **koncerta wojskowe**, które już w zeszłym roku z przyjemnością przez liczną publiczność słuchane bywały.

*** Dzisiaj popołudniu odbędzie się w sali redutowéj zgromadzenie, na którém ukonstytuuje się **kasyno artystów i literatów**. Głównym celem jego jest, aby stworzyć towarzyskie ognisko dla ludzi wszelkiéj umysłowéj pracy.

*** Dnia 18go t. m. odbędzie się **wielki koncert** towarzystwa muzycznego „Muza“ na uczczenie przypadających nazajutrz imienin Prezesa Tow. Nauk. Józefa Majera i Prezydenta miasta Józ. Dietla. I świetny program koncertu i sympatyczne godło zapewniają mu wielkie powodzenie i liczną publiczność.

*** W tych dniach wyszły z zakładu fotograficznego p. T. Szajnoka w drugiéj edycyi, trzy rysunki p. Fr. Tepy, przedstawiające Sybir w jego najciekawszych dla nas widokach: wieś, przez zasłańców polskich zamieszkaną — wnętrze chaty polskich zasłańców, i widok zewnętrzny kopalni. Jest to nowa karta z polskiego martyrologium. Przedmiotem w tych rysunkach jest prawda fizyczna, topograficzna, podobnie jak malującemu portret nie wolno rysów dobierać z fantazyi, ale trzymać się danych przez naturę. Ze Sybiru nadesłali z początkiem r. z. pp. Malczewski i Głuchowski teczkę rysunków, których osnową życie naszych Syberyjczyków i ziemia Sybiru. Szkice te są robione ręką niewprawnego dyletanta, który popełnia błędy w anatomii, w kompozycyi, ale umie trafnie uchwycić treść krajobrazu lub sceny, którą przedstawia. Szło mu zresztą widocznie o prawdę, co przyznają Syberyjczycy, którzy do Lwowa przybyli. Są one pod tym względem bardzo cenne. Te surowe oryginały przetworzył Tepa artystycznie, i tym sposobem spotęgował wrażenie; niczego nie uronił, nie zatarł z prawdy, ale nadał jéj postać, w któréj jako żywy obraz wpaja się w duszy widza. Owe szkice artysta uzupełnił podług opisów ustnych i książkowych, a udało mu się to zupełnie — te widoki i sceny dopełnione, dają niemal takie same dokładne pojęcie Sybiru, jak jego akwarele Wschodu i Egiptu, które zdejmował na miejscu. Rysunki obecne są robione węglem i tuszem. Fotografje z nich wyszły ze zakładu p. T. Szajnoka, a cały dochód ze sprzedaży jest przeznaczony na „wsparcie ziomków naszych powracających ze Sybiru“; ze względu na ten cel p. Szajnok liczy sobie tylko koszta reprodukcyi, więc cena tego albumu jest bajecznie tania, w porównaniu z dotychczasowemi cenami albumów fotograficznych, kosztuje bowiem tylko 2 złr. 50 c. w. a. Pierwsza edycja rozsprzedaną została w bardzo krótkim czasie i to w samym Lwowie, dla tego téż album to w Krakowie jeszcze może jest nieznaném. Obecnie wyszła druga edycja, a tak artysta sam, p. Fr. Tepa jak i nakładca, chcąc przyjść z rzeczywistą pomocą powracającym ze Sybiru, starają się o rozsprzedaż jak największéj liczby tych albumów. — W tym też celu przyjęliśmy chętnie nadesłane nam egzemplarze, **które w biurze naszém oglądać i w miejscu lub pocztą nabyć można**, jak również fotograficzne albumy „wieczorów zimowych“ Grotgera.

*** Odebraliśmy następujący list: Szanowna Redakcjo! Donosimy Ci, że z dniem 25 lutego 1868, jak świadczy W[illegible]czony, założyliśmy Towarzystwo, któremu miano „Kółko [illegible]skie“ nadaliśmy. Ośmielamy się przeto prosić Szanowną Redakcję, aby łaskawie raczyła w kolumnach swego pisma: „Kalina“ nadsyłane prace nasze umieszczać, i tym sposobem do dalszych zachęcać nas płodów. Z winnym szacunkiem prywatny Komitet „Kółka literackiego.“ Lwów 1 marca 1868. — Lubo nie wiemy z kim mamy do czynienia, gdyż w imieniu „Kółka“ nikt się nie podpisał — odpowiadamy, że nadsyłane prace odpowiedniéj wartości najchętniéj umieścimy.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.

Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i **kroje** rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.

Nuty rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Mikołajska, 451, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu“.

W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.

Reklamacje niepieczętowane nie opłaca się.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1868.